

Paweł Beręsewicz



# Wielka Wyprawa Ciunków

Ilustrował Suren Vardanian

Wydawnictwo Skrzat  
Kraków 2009



## Plany

„Już nie mogę! — jęczała Kasia, udając, że spływa z siodełka i rozlewa się po kierownicy.

— Jeszcze dwa kilometry i trzysta metrów! — sucho rzucił tata.

Kasia wściekle zacisnęła zęby, ale nie odważyła się przestać pedałowac. Deptała pedały to jedną nóżką, to drugą, a do głowy przychodziło jej tysiące pomysłów na miłsze spędzenie czasu. Podniosła głowę znad kierownicy, rozejrzała się zbolalym wzrokiem po horyzoncie i westchnęła ciężko. Już od pół godziny mijała ten sam stół w dużym

pokoju otoczony malowniczym wianuszkami krzesła. Dwa metry przed sobą miała regał z książkami i co najgorsze po prawie ośmiu kilometrach jazdy nie zbliżyła się do niego ani o milimetr. Pokraczny bezkoły rowerek stał twardo na podkładce z gąbki i kilometry uciekały tylko na elektronicznym wyświetlaczu. Uciekały stanowczo zbyt wolno.

— Ale ja już nie mogę! — mruknęła Kasia, żeby nikt przypadkiem nie pomyślał, że lubi te codzienne treningi.

Prawdę mówiąc, tęskniła trochę za nadkruszonym, zszarzałym gipsem, który jeszcze do niedawna zdobił jej prawą nóżkę. Przez dobrych kilka miesięcy Kasia była „kochanym rodzinnym połamańcem”, co niosło ze sobą wiele przyjemnych przywilejów. Ustępowano jej miejsca na kanapie, schodzono z drogi, kąpano, przynoszono lekcje, dzwoniono z pytaniem o zdrowie, a czasem nawet noszono, co wcześniej ostatni raz zdarzyło się chy-

ba jeszcze w przedszkolu. Niestety, wszystko co dobre ma kiedyś swój koniec, więc i kość wreszcie się zrosła, a spod ściągniętego gipsu wyrzała blada, wątła nóżka z wyraźnie wychudzoną łydką.

— No to bierzemy się do roboty! — powiedział wtedy tata i następnego dnia przydźwigał do domu ciężki stacjonarny rower do ćwiczeń.

— Od dzisiaj będziesz jeździć dziesięć kilometrów dziennie! — zapowiedział i rozkoszne czasy bycia „kochanym rodzinnym połamańcem” skończyły się bezpowrotnie.

— Aż dziesięć? — jęknęła dziewczynka. — A po co aż tyle?

— Musisz mieć siłę! — powiedział tata dramatycznym tonem, patrząc przy tym Kasi bardzo głęboko w oczy. — Zapomniałaś już o wyprawie? Taka wyprawa to nie żarty! Tam nikt nie będzie na ciebie czekał! Jeśli zostaniesz z tyłu, to... — cmoknął współczująco i Kasia musiała sama sobie

wyobrazić żaloszny los nieszczęśników, którzy nie mają siły pedałowac, zostają coraz bardziej w tyle, a kiedy są już tak daleko, że nikt nie może usłyszeć ich wołania... Brr! Chyba rzeczywiście lepiej było trochę potrenować.

Wielką Wyprawę tata wymyślił w zimie. Za oknem szarzał brudny miejski śnieg, dzień dogorywał, choć ledwo się zaczął, a mały domek na Cichej był najprzytulniejszym miejscem na świecie. Mama krzątała się przy obiedzie, Grzesiek kończył dziesiąty mecz z komputerem, Kasia biła kolejny rekord dziennej liczby przeczytanych stron, a tata siedział przy stole pochylony nad wielką mapą Europy. Przez okna noszące jeszcze ślady świątecznego mycia jego marzenia wylatywały daleko w przestrzeń i pędziły ku ciepłym morzom, dostojnym góróm, wielkim rzekom i tym wszystkim nieznanym ludzióm, do których można było

pomachać i powiedzieć: „Hello!”, „Bonjour!”, „Buon giorno!”, „Guten Morgen!”, czy „Buenos dias!”.

— Skąd jesteście? — pytali ci ludzie, a tata w myślach uprzejmie wyjaśniał, że z Polski.

— Ojej, to strasznie daleko! — rozmówcy aż łapali się za głowy.

Tata uśmiechał się pobłaźliwie i mówił:

— Ale my jesteśmy Ciumkowie! Dla nas nigdy nie jest za daleko...

— Czy możesz zabrać ze stołu tę mapę? — głos mamy brutalnie przypomniał o szarej rzeczywistości.

Kolorowa płachta Europy zaczęła się kurczyć, aż w końcu została z niej tylko niewielka składowana książeczka.

— Żurek czy pomidorowa? — padło pytanie, a tata odpowiedział:

— A co byście powiedzieli na Prowansję?

Prowansja to piękna kraina na południu Francji położona między drapieżnymi Alpami, a rozkosznie niebieskawozielonymi wodami Morza Śródziemnego. W niektórych miejscach skaliste wzniesienia dochodzą aż do samego brzegu i opadają w morze stromymi urwiskami. Gdzieś między górami a wodą, jakby w zatoczkach płaskiego lądu, tłoczą się malownicze wioski, miasteczka i miasta. Wschodnia część prowansalskiego brzegu to słynne Lazurowe Wybrzeże pełne luksusowych kurortów, w których bogaci tego świata lubią spędzać wolne chwile swojego pełnego blasku życia. Wspaniałe wille przyklejone do czerwonych skał przegładają się w lazurowej wodzie, a w przystaniach fale kołyszą białe jachty większe niż cały dom Ciumków. W głębi lądu ze wzgórz spływają starannie uczesane winnice i szarozielone gaje oliwne. W słonecznych dolinach żółcą się pola pszenicy i zielenieją sady. W powietrzu wisi zapach

prowansalskich ziół: rozmarynu, bazylii, tymianku, szaławii, mięty, cząbr i majeranku. Czasami krajobraz nagle niebieszczeje i kuchenne aromaty bledną stłumione słodką wonią lawendy.

Odkąd tata Ciumko wpadł na pomysł, żeby przejechać Prowansję na rowerze, myśl o wyprawie opanowała go bez reszty. Kiedy zasypiał przykryty mapą, zmieniał się w średniowiecznego trubadura. Wędrował bez końca pod błękitnym niebem, śpiewając pieśni o miłości i wielkiej przygodzie. Nie miało najmniejszego znaczenia, że jego wierzcho-  
wiec ma dwa kółka zamiast czterech nóg. W dzień każdą wolną chwilę spędzał tata, studiując przewodniki i od czasu do czasu częstował rodzinę smakowitą ciekawostką.

— A wiecie, że podobno w Prowansji trzyma się w domu suszoną lawendę, żeby odstraszała skorpiony? — zawołał kiedyś, podnosząc wzrok znad kolorowej książki.



Jak zawsze w takich chwilach oczy płonęły mu młodzieńczym blaskiem, a na policzkach kwitły rumieńce.

— Skorpiony? — jęknęła przerażona Kasia. — To ja w takim razie zostaję w domu!

To właśnie po to parę dni później złamała sobie nogę na nartach.

Plan ze złamaną nogą był rzeczywiście dosyć sprytny i pewnie nawet by się powiodł, gdyby nie to, że został przeprowadzony odrobinę za wcześnie. Kość zrastała się wprawdzie dość wolno, ale i tak w połowie wiosny nadawała się już do użytku, a na domiar złego trzeba było nadrabiać zaległości.

W tym czasie skorpiony stały się najczęściej omawianymi zwierzętami w domu Ciunków.

— Masz sssskorrripiona pod kołdrą! — syczał na przykład Grzesiek, a wtedy Kasia, piszcząc,

wyskakiwała z łóżka i przysięgała, że już nigdy więcej do niego nie wróci.

— No co ty, Kaśka, skorpiony to fajne zwierzaczki! — mówił wtedy jej brat z całkiem niewinnym uśmiechem. — Po prostu mają na końcu ogonka taki mały kolec połączony ze zbiorniczkiem jadu. W nocy, kiedy na przykład śpisz sobie smacznie w łóżeczku, taki skorpionik podkrada się do ciebie i wbija ci żądełko w szyjkę. Przez kolec śmiertelny jadzik sączy ci się pod skórę i... — tu Grzesiek zamykał oczy, wystawiał język i przechylając w bok głowę, wydawał z siebie chrapliwy dźwięk.

— Grzesiek przestań! — krzyczał na niego tata. — Przecież już wam mówiłem, że europejskie skorpiony nie są dla ludzi niebezpieczne!

— Ale przyjemne też nie są — wtrącała wtedy mama i temat skorpionów kończył się na chwilę, by za jakiś czas powrócić wraz z jakąś sensacyjną wiadomością.

— A wiecie, że jedna pani w Tajlandii pobiła rekord Guinnessa w długości trzymania w buzi żywego skorpiona? — powiedział kiedyś przy kolacji tata.

Kasia natychmiast wypluła na talerz przeżuty kęs kanapki.

— Nie przy jedzeniu! — prychnęła mama, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

— A ile musiała trzymać? — zainteresował się Grzesiek i tata poszedł na górę, sprawdzić w internecie, który, jeżeli chodzi o skorpiony i wszystkie inne sprawy, jest prawdziwą kopalnią wiedzy.

— Dwie minuty i trzy sekundy — powiedział, wracając do stołu.

Grzesiek oblizał się smakowicie, mlasnął i oświadczył:

— No to po tych wakacjach pani z Tajlandii nie będzie już rekordzistką.

Kasia przysięgła sobie w duchu, że skoro już musi jechać do tej Prowansji, ani na sekundę nie

rozstanie się z lawendowym mydełkiem, które dostała na imieniny.

Ulica Cicha oddalona jest od Prowansji o 1831 kilometrów. Biorąc pod uwagę ciężkie bagaże i wysokie góry po drodze, Ciumkowie mogliby przejeżdżać na rowerach średnio około pięćdziesięciu kilometrów dziennie. Przy takim założeniu podróż rowerowa w tamtą stronę zajęłaby im trzydzieści siedem dni. Po dodaniu kolejnych trzydziestu siedmiu dni na drogę powrotną, wyszłoby już siedemdziesiąt cztery dni. Wakacje tego roku zaczynały się 21 czerwca, a kończyły jak zwykle 1 września — miały więc trwać siedemdziesiąt dwa dni. Z powyższych obliczeń wynika, że jadąc w tę i z powrotem na rowerze, Kasia z Grześkiem straciłoby dwa dni szkoły, a na to oczywiście mama i tata Ciumko nie zamierzali pozwolić. Postanowiono więc rozpocząć wyprawę rowerową

nie z domu, ale dopiero ze słynnego śródziemnomorskiego miasta Nicea.

Któregoś majowego wieczora tata wrócił do domu bardzo podekscytowany. Z wielkim humorem położył na stole nesesor, a ponieważ nikt nie zwrócił na jego wejście specjalnej uwagi, chrząknął głośno i zaśpiewał:

— Chodźcie zobaczyć, co ja tu mam!

Z miną iluzjonisty pstryknął oboma zamkami, otworzył teczkę i wyjął z niej cztery podłużne kolorowe kopertki. Rozłożył je w wachlarz, podniósł teatralnym gestem do góry i zatrąbił:

— Ta, tan!

— I co to ma być? — mruknął Grzesiek, zły, że odciągnięto go do komputera.

— A zgadnijcie! — zaświergotał tata.

Zaczęło się zgadywanie. Kasia z Grześkiem strzelali na przemian, ale co strzał — to kulą w płot.

— Mapki. Ulotki. Kalendarzyki — padały propozycje i po każdej tata miał coraz bardziej zadowoloną minę.

— Poddajecie się? — spytał wreszcie.

Kasia z Grześkiem natychmiast podnieśli ręce do góry.

— To są...! — tata na chwilę zawiesił głos, a potem wreszcie uroczyście dokończył: — Bilety do Nicei!

— Bilety? — jęknął Grzesiek. — To po to kazałeś mi złączyć na dół? Myślałem, że pojedziemy samochodem. To do pociągu w ogóle można zabrać rowery?

— A kto powiedział, że do pociągu? — triumfalnie spytał tata.

Następnie rozłożył szeroko ręce, pochylił się do przodu i z głośnym warczeniem przebiegł dookoła stołu.

— Naprawdę? — wrzasnęła Kasia i aż podskoczyła z radości.

## *Plany*

---

Nigdy w życiu jeszcze nie leciała samolotem. Nawet stado wściekłych skorpionów nie byłoby w stanie jej zniechęcić.

— Słyszałeś, Grzesiek? — pisnęła, a Grzesiek mruknął:

— Słyszałem!

Grzesiek leciał już kiedyś samolotem. Co prawda był wtedy jeszcze w brzuchu u mamy, ale pewne doświadczenie już miał i nie za bardzo wypadało mu skakać i cieszyć się jak dziecko. W głębi duszy jednak i on na myśl o podniebnej podróży poczuł przyjemne podniecenie...

## Spis treści

Plany.....	7
Godzina „P” .....	21
Podniebna podróż.....	38
Dzień pierwszy .....	47
Dzień drugi .....	56
Dzień trzeci .....	73
Dzień czwarty .....	92
Dzień piąty .....	110
Dzień szósty .....	131
Dzień siódmy.....	144
Dzień ósmy .....	153



Dzień dziewiąty .....	167
Dzień dziesiąty .....	177
Dzień jedenasty .....	186
Dzień dwunasty .....	203
Dzień trzynasty i czternasty.....	213
Po powrocie	
Dzień pierwszy .....	224
Dzień drugi .....	226
Dzień siódmy.....	227
Dzień sto piętnasty .....	228
Dzień dwieście dziesiąty.....	229
Dzień dwieście pięćdziesiąty.....	230